

# Kronika tygodniowa.

Ubiegły tydzień rozpoczął się pod dobrą wróżbą.

W poniedziałek zgasia bezpotomnie po długich a dolegliwych cierpieniach smutnej pamięci austriacka cenzura, która przez długie lata piszącym i czytającym ogółowi dawała się we znaki. Związka w wojennym czasie wyprawiała nieboszczka, choć poważna wiekiem, formalne orgie, na których spisanie, by je przekazać wdzięcznej pamięci potomości, nie starczyłoby i całe tomy.

Osierociła całą falangę biurokratów, z panem prokuratorem na czele, nie mogącym sobie wyobrazić Austrii bez cenzury.

I mieli widocznie rację, tak sądząc, równocześnie bowiem z zejściem ze świata cenzury, rozsypała się w kawałki i sama Austria, dając początek całemu szeregowi nowych organizmów politycznych, do których należy i budząca się napowrót do samodzielnego życia państwowego Polska.

Bylbym niewdzięcznikiem, gdybym smutnej pamięci cenzurze, z którą przyszło mi walczyć jeszcze dwa tygodnie temu, nie poświęcił bodaj kilku słów żałobnego wspomnienia i to tem bardziej, że właśnie miesiąc listopad poświęcony jest pamięci tych, którzy ten padół płaczu na zawsze już opuścili.

Austriacka cenzura to wykwit średniowiecznego biurokratyzmu, mający stać na straży lojalności obywateli i hamować wszelkie swobodniejsze porywy, bez względu na to, czy jest racja, czy jej niema, byleby nie ulepiła tylko tak zwana „racja stanu“, nie mająca wogóle z żadną racją nic wspólnego, innemi słowy, nie mająca zupełnie racji bytu, zwłaszcza zaś w wieka dwudziestym, mającym być wyrazem postępu i swobody, a nie zacofania i niewoli.

Był to rodzaj kagańca, zaciskanego raz silniej, raz znowu słabiej, zależnie od okoliczności, a piszącego zdawał na łaskę i niełaskę jednostki, w której wszechwładnem ręką czerwony ołówek stawał się bardzo potężnym orężem. Szczególnie zaś w wojennym czasie, gdy zaprowadzono przymus kagańcowy dla dziennikarzy, czyli tak zwaną cenzurę przewencyjną, biedni byli rycerze pióra, a jeszcze biedniejszą czytająca publiczność, otrzymując za swe pieniądze gazetę, ozdobioną obficie białymi plamami, stanowiącymi piękny dowód energicznej pracy pana cenzora, cywilnego lub wojskowego.

Zwłaszcza ten drugi był nader podejrzliwy i na każdym miejscu dopatrywał się zdrady tajemnic wojskowych, która mogłaby wyrządzić szkodę armii, operującej na rozmaitych odcinkach.

Z drugiej znowu strony dokładano starań, by podnieść ducha obywatelskiego, zwłaszcza zaś w okresie podpisywania pożyczek wojennych, nie też dziwnego, że przez lata cztery na papierze nie przegraliśmy ani jednej pożyczki. Wolno było co najwyżej pisać o „planowem skróceniu frontu“, jakie się odbyło bez zwrócenia na to uwagi nieprzyjaciela, ogromnie tem zaskoczono, gdy się po długim ostrzeliwaniu wdarł do naszych rowów strzeleckich i zastał je pustel...  
— Teraz dopiero, gdy znamy nam jest wynik ogólny, zdajemy sobie sprawę z tego, jak bałamutne były owe komunikaty wojenne, przedstawiające zawsze sytuację w różowym świetle.

Ale tak być musiało, gdyż na co innego nie byłaby pozwoliła cenzura, konfiskująca nieraz ustępy z komunikatu wojennego, wydane przez sztab jenerały, lub ryciny, sporządzone według fotografii, nadawanych przez wojenną kwaterę prasową.

Nawet tak poważne instytucje posadzał pan cenzor nieraz o brak lojalności!...

Smiano się nieraz z rosyjskiej cenzury, która nie pozwalała na to, aby naprzykład dzień galowy miał być w jakiej powieści pochmurny i dżdżysty, ale przyznać musimy, że i nasza cenzura nie była lepszą lub wyrozumialszą. Wiedzą o tem najlepiej ci, którzy mieli z nią do czynienia, więc dziennikarze i literaci. Ogół czytających mógł podziwiać tylko białe plamy, których w jednym numerze było mniej lub więcej, zależnie od tego, jaki humor miał pan cenzor w chwili urzędowania. Stwierdzono doświadczeniem, że po obiedzie był zwykle wyrozumialszy i łaskawszy.

Przedwojenna cenzura nie dawała się tak we znaki ogółowi czytających. Obowiązkowe egzemplarze pisma posyłało się do prokuratury i policji z chwilą wypuszczenia pisma w świat szeroki. Zaním więc pan prokurator przewertował numer, a znalazłszy w nim coś podejrzanego, zawiadomił policję, by przeprowadziła konfiskatę, pismo było już w ręku czytelników w mieście. Ofiarą padały egzemplarze, wysyłane dla zamiejscowych odbiorców. Te zabierała policja, odwoziła w tryumfie do swej siedziby i lokowała w piwnicy, skąd po dłuższym odpoczynku wędrowały znowu na

światło dzienne w charakterze podpałki do pieca lub też obracano je na inny równie praktyczny użytek, o którym głośno się nie mówi.

Z chwilą wybuchu wojny cenzurę zaostrzono. Wszelkie druki ulegały odtąd cenzurze przewencyjnej, polegającej na tem, że egzemplarz pisma drukowego musi być przedłożony władzy do ocenzurowania przed wypuszczeniem na światło dzienne.

Ponieważ w tych okolicznościach nie można myśleć o zastąpieniu skreślonego artykułu innym, wyrzuca się poprostu to, co skeniskowane, zostawiając w tem miejscu białą plamę. Czytelnik jest z niej nieraz i zadowolony, ma bowiem sposobność łapania sobie głowy i zastanawiania się nad tem, co też tam być mogło. Wyklinali natomiast ci, którzy są przyzwyczajeni przeczytać gazetę od deski do deski, nawet z ogłoszeniami, utzymując, może zresztą i słusznie, że są pokrzywdzeni, placąc za czysty papier, gdy oni chcą tymczasem mieć zadrukowany.

W wojennym czasie wzmogła się i energia cenzury, w ślad zaś za nią i ostrożność piszących, którzy nie zapominali o tem, że z Krakowa bardzo niedaleko na tak zwany „odcinek włoskiego frontu“, to jest na ulicę Montelupich, gdzie się mieści sąd wojskowy i więzienia, w tym okresie przeważnie przeludnione.

Swoją drogą żalowałem nieraz serdecznie pana prokuratora, który miał dość powodów zmartwienia i kłopotów. Jak uważnie trzeba było nieraz czytać jakiś artykuł, by wydobyć na jaw, co właściwie myślał autor (jeśli wogóle myślał!...), gdy go pisał. Domyślność była więc i jest jedną z cnot, jakie powinny zdobić każdego prokuratora.

Sama jednak domyślność nie wystarczy. Tu trzeba i sporej dozy podejrzliwości, a tej nie brak żadnemu prokuratorowi, widzącemu w każdym śmiertelniku zbrodniarza, który albo już siedział w kryminale, albo będzie dopiero siedział.

Najniewinniejsza wzmianka była nieraz powodem głębokiego zastanowienia, co też autor chciał powiedzieć, raczej napisać, czy też przypadkiem nie miał zamiaru obrazić jakąś wysoko postawioną lub sprzymierzoną osobistość.

Raz napisał ktoś w kronice pewnego pisma, że „rozjuszony byk, prowadzony do rzeźni, wyrwał się z rąk swej eskorty i wpadł na rynek, gdzie ludzi, bez względu na wiek, płeć i rangę, brutalnie poróżnaczał...“ a pan prokurator pół godziny zastanawiał się nad tem, do kogo się ta wzmianka odnosi.

— Ciekawy jestem — mówił do siebie — kogo on miał na myśli?... Bo, że pod tą byczą skórą kryje się ktoś inny, a nie sam byk, na to dałbym szyję, a może nawet i głowę!...

Ale, jak się obecnie pokazuje, te wszystkie wysiłki cenzury nie uratowały bynajmniej Austrii. Ten przeżytek średniowiecza zeszedł z tego świata właśnie w tej chwili, gdy Austria, mająca się stać odtąd państwem związkowym, poczęła się szybko rozpadać na kawałki.

Jak wdzięczne pole miałby teraz pan prokurator do rozwinięcia swej cenzuralnej energii. Niestety, smutnej pamięci cenzura już nie dycha, a każdemu wolno pisać, co mu się podoba.

Pocziwą cenzurę zaledwie tylko o kilka dni przeżyła nasza sympatyczna *Krakauerka*, przynosząca nam co wieczór pomyślnie komunikaty z placów boju i telegramy na własnym drucie i bez drutu, z których wynikało, jasno jak na dłoni, że w całym świecie dezorganizacja, a ład i porządek tylko w Austrii. Czytali ją oficerowie i ci, którzy specjalnymi względami otaczali zawsze Niemczyzna, uważając ją za najwyższy wykwit kultury. Dziś pozbawieni swego *Leit-organa*, muszą chyba powrócić znowu na łono *Nowej Reformy*, która chętnie przyjmie marnotrawnych synów i przytul ich do kochającego łona.

*Krakauerka* zgasia również bezpotomnie jak i cenzura, ale dopiero we czwartek, to jest w tym dniu, w którym nastąpiła likwidacja dawnych stosunków i rozpoczęcie nowej ery naszego życia narodowego.

Dzień 31 października należy do najważniejszych w naszych dziejach. W dniu tym zerwało nasze społeczeństwo ostatnią nić, jaka je jeszcze łączyła z Austrią, która dlań była zawsze tylko macochą, a nigdy matką i spokojnie, a poważnie rozpoczęło nową erę narodowego życia, ale życia wolnego.

Z budyków rządowych usunięto orły austriackie, a na odwachu w Rynku głównym rozległa się po raz pierwszy polska komenda. Ta chwila dla tych, którzy przy zmianie warty byli obecni na Rynku, pozostanie na zawsze w pamięci. Wielu ludzi miało łzy w oczach.

Ta przemiana z austriackiego kraju koronnego na samodzielne i, dałby Bóg, jak najprędzej już zjednoczone państwo polskie, odbyło się z należytą powagą i spokojem.

Kto nie chciał pogodzić się z nowym porządkiem, temu pozwolono na to. Skorzystali z tego zwłaszcza oficerowie narodowości niemieckiej, którzy tłumnie

z *Bärenlandu* wywędrowali do swojego *Vaerlandu*, ale z dość rzadkimi minami, gdyż przypuszczają, że im tam nie będzie tak dobrze, jak było tutaj, gdzie mieli i znaczenie i opływali we wszystko, czego tylko dusza, a przedewszystkiem żołądek zapagnie.

Nieraz też nadużywali swego stanowiska, ale dziś nie czas zajmowania się tą sprawą. Pożegnaliśmy ich serdecznie, życząc „szczęśliwej drogi“ i zachowania nas w miłej pamięci, nie prosząc natomiast, by do nas rychło powrócili.

I pośród nas jest wielu, nie mogących się pogodzić z tą myślą, jak to będzie wyglądała Polska bez oparcia się o Wiedeń, a nasze społeczeństwo bez Anioła Stróża w czapce z urzędowym bączkiem, stojącego na straży naszej lojalności.

Ci są na razie niepokieszeni, ale może przecież dadzą się z czasem przekonać, że i sami dsmy sobie radę i obejździemy się bez prowadzenia na pasku, albo i za nos. Ale niech ci panowie nie utrudniają położenia, a nie chcąc lub nie mogąc pomagać, niech bodaj siedzą cicho i nie szkodzą ogólnej sprawie.

Także i właśnie partyjne muszą ustać w tej chwili przełomowej. Jesteśmy tylko Polakami, dążącymi do uzyskania samodzielnej i zjednoczonej Ojczyzny!

Że w tym kierunku będziemy musieli walczyć z wielu jeszcze przeciwnościami i wiele przeszkód pokonać, o tem niema dwu zdań. W każdym razie jesteśmy już bliżej celu, niż byliśmy kiedykolwiek i musimy wszyscy dołożyć starań, by nie zepsuć tego w jednej chwili, co wymagało pracy całego szeregu lat...

Jakie nas jeszcze w dalszym ciągu czekają niespodzianki, tego nie wiemy. Na wszystko musi się być przygotowanym, zwłaszcza zaś na poważne zaręki z najbliższymi sąsiadami od wschodu i zachodu, czego zresztą przedsmak mieliśmy w ubiegłym tygodniu we Lwowie i Przemyślu.

Ale miejmy nadzieję, że dla nas skończy się to pomyślnie, gdyż słuszność jest po naszej stronie, a światem rzą odtąd rzadzić sprawiedliwość, a nie siła pięści.

To jedno jest już pewnem, że Austria taka, jaką była dotychczas, istnieć już przestała. Sztuczny zlepek najróżnorodniejszych narodowości, który miał się wysługiwać wszechniemieckim hakatystom, rozleciał się w kawałki.

Nie pomogły na prędce obmyślane i gorączkowo stosowane środki zaradcze pod postacią zmiany formy rządów, różnych nieuchwytnych obietnic i manifestów. Na Austrii zemściła się Nemezis dziejowa.

Upadek swój zawdzięcza Austria głównie zbyt niewolnicznemu trzymaniu się klamki, berlińskiej i zbytniemu forytowaniu nikłej grupki zaślepionych Wszechniemców, których ideałem była zawsze piketbauba pruska.

Centralizacyjne ich zakusy nie miały nigdy powodzenia, a przecież nie nauczyły rozumu tych, którzy kierować mieli austriacką polityką.

Opamiętanie przyszło, ale już zapóźno.

Objawem jego był manifest cesarza Karola, zapowiadający federalizację Austrii, celem ratowania dynastji. Ale i ten zabieg był już spóźniony, a nadto spotkał się z opozycją tych, którzy zbawienie widzieli tylko w sojuszu z Berlinem.

Jak zaś Austria wychodziła dotąd na tej rzekomej przyjaźni, wie chyba każdy. Berlińskie sfery kierujące tolerowały ją o tyle, o ile jej potrzebowały do swych celów, w decydujących momentach zostawiając ją samej sobie.

A austriacy politycy tracili wówczas głowę i popelniali cały szereg nonsensów, które dziś wydały owoce, ale nie takie, jakich oni się spodziewali. Nie ma się też czego dziwić, że Wilson nie brał na serio propozycji pokojowych, jakie otrzymywał ze strony Austrii, wiedząc o tem, że przez usta hr. Buriana przemawia kto inny, a ten nigdy szczeremu nie był, ale od wieków walczył tylko fałszem i obłudą.

Na ostateczne rozwiązanie, jak się zdaje, już zbyt długo czekać nam nie trzeba. Piketbauba pruska, która dotąd imponowała i groziła całemu światu już nigdy więcej do władzy nie powróci. Rozpoczyna się zmierzch germanizmu, zbyt już w Europie rozpanoszonego, a otwiera pole działalności dla słowiańskich narodów, dotąd stale odsuwanych na drugi plan pod pretekstem, jakoby były jeszcze politycznie niedojrzałe.

Że tak jednakowoż nie jest, pokazały ostatnie wypadki.

W każdym jednak razie zaczynam już wierzyć, że ta wojna musi się raz skończyć, jeśli nie wcześniej, to później.

Tego samego zdania jest i moja Weronika, ale platformy, z których się na sprawę zapatrujemy, są różne.

